

bbs

Długo się czeka zanim coś się zacznie...

AUTORZY musicalu, granego obecnie w Teatrze Muzycznym w Gdyni: „Przygody Sindbada żeglarza”, są bardzo dobrego zdania o swym dziele. Kompozytor Jerzy Milian, wspominając pracę nad „Czarującą szewcową” w tymże teatrze, stwierdza, iż „z takim dyrygentem (chodzi o Stefana Rudko – przyp. L.) i zespołem, nad którym tak panuje – można by na koniec świata etc. etc.”, że znowu Maria Straszewska wraz z dyr. Baduszkową zainspirowały go do napisania muzyki do baśni muzycznej „Przygody Sindbada żeglarza”, co stanowi wdzięczne libretto dla kompozytora. O ile z tym poglądem jestem gotów się zgodzić, gdyż muzyka chwilami brzmi tu rzeczywiście zgodnie z deklaracją autora, to cokolwiek bardziej sceptycznie odniósłbym się do wypowiedzi autorki libretta (według Bolesława Leśmiana, z poezją Roberta Stintera), a zarazem inscenizatora i reżysera gdynińskiego spektaklu, Marii Straszewskiej. Pisze ona w programie musicalu: „Trudno

mi jednak oprzeć się pokusie rozwiązania tego dylematu, choćby ta próba posłużyła się miała metodą przewrotną. Skoro bowiem nie można uniknąć konwencjonalności, dlaczego nie uczynić konwencji całkowicie naturalną, a nawet więcej: konieczną. Wystarczy tylko znaleźć sposób jej racjonalnego przywołania... Tak oto zrodził się pomysł napisania opartego na tekście Leśmiana – musicalu. Dziwna to bajka. Dla dzieci, dla młodzieży i dla dorosłych. Każdy znajdzie w niej na pewno inne „cudowności”... To baśń, w której autor nie pozwala nam przez chwilę nawet nudzić się, zaskakując nas ciągle nowym błyskotliwym pomysłem”...

Tak może jest rzeczywiście z „Sindbadem” Leśmiana – ale nie z musicaliem z niego się wywodzącym. Tę bowiem pozycję (oddając Teatrowi Muzycznemu należny mu ukłon za wciąż nowe poszukiwania w gatunku zwanym musicaliem), skłonny byłbym uznać za rzecz chybioną. Chyba że traktować ją z góry za pozycję przeznaczoną dla dzieci jedy-

nie – chociaż i te, przypomnę znaną prawdę, należy pisać tak jak dla dorosłych, tylko... lepiej.

W tych „Przygodach Sindbada Żeglarza” najpierw przez długi czas czekamy, aż na scenie zacznie się coś wreszcie dziać... I w tym oczekiwaniu pozostajemy właściwie do końca spektaklu. A więc adaptator – a i realizator, zarazem – nie potrafiła chyba po prostu pokazać owego „frapującego świata pełnych



fantazji przygód”. Nie znajdujemy tego w librecie, nie widzimy także na scenie. Barwna i udana w sumie scenografia Andrzeja Markowicza, akcentująca poszczególne sceny, nie zastąpi jednak samej akcji, której tu

po prostu brak... Za tym „pierworodnym” niejako grzechem następują kolejne, z niego się biorące: cała ta opowieść nie ma wyrażenie zarysowanych bohaterów (poza tytułowym – tylko dla czego z kaletki tak niefortunnie ubrane go w białe pantalone i ta kiż podkoszulek?), co z kolei odbija się na scenicznym kształcie spektaklu: tu nie ma także ról, które by upamiętniały przedstawienie. Na dobry ład mógłbym zaryzykować twierdzenie, iż jedynie Elżbiecie Drzewieckiej, Andrzejowi Szwarckopfowi i Zdzisławowi Tygielskiemu udało się stworzyć jakieś postacie: może jeszcze w premierowym spektaklu Andrzejowi Popielowi (grającemu Sindbada na zmianę z Zenonem Besterem), reszta wykonawców to chórzyści i statyści; nawet balet, grający na deskach tego teatru tak ważką rolę, tym razem jest jakis niezauważalny. Z innych ról... Leszek Kowalski Marian Rożek, czy szczególnie Jan Wodzyński powtarzają sami siebie z innymi, znanych już spektakli; „nowego” natomiast tu zabrakło...

Znaczną część wykonawców „Przygód Sindbada Żeglarza” stanowią adepci prowadzonego przez Teatr Muzyczny „Studio” – i to dobrze, że „zdobywająca estregi” młodzież sprawdzi się od razu na scenie. Nie tak bym więc winił za mójemu pecha całego spektaklu...

LAK

Prof. E. Śliedziński